

DROGA BOGÓW

TOM II



BookEdit

KRYSTIAN
GADOMSKI

DROGA BOGÓW

TOM II

KRYSTIAN
GADOMSKI

BookEdit

[Kup książkę](#)

Copyright © Krystian Gadomski, 2025

Projekt okładki i ilustracje: Aleksandra Skowrońska

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: Magdalena Ceglarz, ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-88-8

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

[Kup książkę](#)

PRZEDMOWA

Więc skoro wszystkie dusze żywoty sobie wybrały, zaczęły po porządku, jak która losowała, podchodzić do Lachesis. Ona każdemu przydzielała ducha, którego sobie każdy wybrał i posyłała go wraz z nim, aby był stróżem ludzkiego życia i dopełniał tego, co sobie każda dusza obrała.

– Platon

Książka, którą masz w rękach, została napisana przez naszego syna Krystiana. Jest drugą z jego czternastu księzek, a my ze wszystkich jesteśmy bardzo dumni.

Czy zastanawiasz się czasem nad ludzkim istnieniem? Rzeczywistość, w której żyjemy, jest bardzo dziwna i osobliwa. Cała sytuacja i kontekst, w którym jesteśmy, myślimy, mówimy i przeżywamy. Cała nasza ludzka historia, która jest już za nami i jeszcze przed nami. Historia, której jesteśmy małą częścią i którą tworzymy dla kolejnych pokoleń, które zajmą nasze miejsce w przyszłości.

Bohater tej książki, jak każdy z nas, jest pełen wewnętrznych rozterek i niepewności. Poszukuje sensu życia. Podejmuje decyzje, które wpływają na jego życie. Każdy z nas każdego dnia podejmuje własne decyzje. Dokonujemy wyborów – większych, mniejszych, dobrych i złych. Zastanawiamy się, co nami kieruje.

Co sprawia, że nasze decyzje są takie, a nie inne. Może właśnie tą siłą, która wspiera nas podczas naszego krótkiego pobytu na ziemi, jest nasz wewnętrzny anioł stróż?

Główny bohater podejmuje wyzwanie i rusza w nieznane. Spotyka na swojej drodze różne osoby – postacie historyczne, bohaterów legend i mitów, dawno już zapomnianych bogów. Każda z postaci poznanych po drodze go zmienia. Ma wpływ na jego dalsze losy. Ale czy tak nie jest w naszym życiu, gdzie każda z osób, które poznajemy, zostawia w nas część siebie? Przez stulecia naszym przodkom towarzyszyli różni bogowie. Legendy i mity o nich z biegiem lat odeszły w zapomnienie. Główny bohater podejmuje wysiłek uratowania pamięci o tych właśnie bogach, aby mogła przetrwać dla kolejnych pokoleń. Bogowie istnieją, dopóki mają wyznawców.

Szukając Krystiana, znajdowaliśmy go zawsze z książką w ręku. Towarzyszyły mu one od najmłodszych lat. Pasja ta przerodziła się w pisanie książek i to właśnie pisanie książek stało się szybko całym jego życiem.

Tym razem na drodze bohatera stają bogowie nordyccy – Odyn i Loki. Mitologia krajów północy i jej bogowie zdający sobie sprawę ze swojej przemijalności i oczekiwania na Ragnarök, po którym wyłoni się nowy świat i nastąpi era szczęścia bez przemocy i wojen, jest bogata i inspiruje wielu twórców.

Dziękujemy bardzo Agnieszce Grzybowskiej i Aleksandrze Skowrońskiej za zaufanie i możliwość wspólnej pracy nad wydaniem tej książki. Tobie zaś życzymy magicznego, pełnego refleksji czasu z tą i każdą następną książką!

Barbara i Jacek Gadomscy

1200, Heian – piętnaście lat później

Ocieram pot i podnoszę się z klęczek, trochę niewygodnie zamiata się dzie-
dziniec z mieczem na plecach, ale... nie opuszczę jej. Niewiarygodne, przed
oczami stanął mi ten poranek, gdy wróciliśmy do świętowania. Wieczorem tego
samego dnia zwołałam mój klan, czym najbardziej zdziwiona była moja siostra.
Szeptała coś o tabliczkach, ale tak cicho, że słyszała to tylko Makoto, która
wybuchła śmiechem. Mój syn zaś kiwnął głową, jakby to było coś oczywistego.
Dzieci potrafią być w takich chwilach naprawdę przerażające... Równie pozy-
tywnie zareagowały na wiadomość o planowanej w kolejnym stuleciu podróży
do Europy, aby pomóc stworzonym przeze mnie...

– *Mhm* – wtrąca Mordred.

– ...Nam, lisołakom, no i trzeba będzie znaleźć Graala...

– *Tak, zrobimy to razem, księżniczko.*

– Kochanie, musisz wtrącać się do mojego monologu?

– *Cóż poradzę na to, że wyświetlają mi się na telewizorze. Ale jak chcesz,
pójde coś poczytać.*

Mój obrońca, myślę podczas zamiatania – osoba podobnie jak ja pokance-
rowana przez przeszłość. Naprawdę lubię patrzeć, jak zasypia wtulona w po-
duszkę i słucha, jak nucę tę jedną piosenkę, która była wyznaniem moich uczuć.
Nie jest w stanie zasnąć, gdy nie ma mnie przy niej, rozumiem to dobrze. Ona
za to codziennie przygotowuje coś na moje przyjście. Daje mi szansę poczuć
się jak ktoś ważny.

Jest mi naprawdę żal zarówno Inari, jak i Aarona. Oboje okazali się o wiele bardziej poważni i poświęcili swoje prawdopodobne szczęście na rzecz Aari i Mordred. To prawdziwa bezinteresowność, która charakteryzuje tylko wyjątkowe osoby.

Moja bogini oponowała, abym to ja wykonywał to zajęcie. Zaprzeczyłem jednak, bo lubię tę rutynę. Kiedy skończę, przyjdzie po mnie moja siostra z Akatorim. Teraz to ona prowadzi większość zajęć, mnie dostały się jedynie te wieczorne. Wcześniej przez kilka godzin zazwyczaj ćwiczę szermierkę. Przeważnie robię to sam, bo... nie chcę przekazywać komukolwiek moich błędnych technik i wzorców. No chyba że moja siostra znajdzie chwilę. W sumie cieszy mnie, że Makoto nie zgodziła się, abym powrócił do tego, co robiłem wcześniej. Nie nadaję się do papierkowej roboty, a długotrwałe przebywanie z Inari mimo naszych chęci dalej bywa niezręczne.

Dobrze, że mój syn się przystosował. Początkowo miał trudności z przyzwyczajeniem się do wstawania rano. W podróży zwykle robiliśmy to później. Ale dał sobie radę, podobno jest jednym z najbardziej obiecujących uczniów, jeśli chodzi o kitsunebi. Talent do iluzji zaś ma po mnie, więc to bardziej antytalent, ale cytując Pratchetta: „Mam prawo do nazywania się magiem podobnie jak zero ma prawo do bycia liczbą”.

Kończę i siadam spokojnie na podłodze jednego z pawilonów. Pamiętam, jak całkiem niedawno jakaś młodsza lisica, bodajże Takachi, wyśmiała go za brak talentu i nazwała „dziwnym”.

Aby temu zaradzić, z Koseki poszliśmy do jej starszej siostry Asami. Wcześniej podczas zajęć moja siostra zdążyła już żrugać młodą. Według niej jej siostra zazdrości młodemu „pełnej rodziny”. I bądź mądry, i podejmij odpowiednią decyzję. Porozmawialiśmy z nim, wytłumaczyliśmy, czemu zachowuje się w ten, a nie inny sposób. Powiedział, że się niczym nie przejmuje, bo ona pieprzy od rzeczy i że dziadek opowiadał mu o tym, że skoro jest wyjątkowy, to wszyscy inni będą mu zazdrościć.

Poprosiłam później Kasimaela, aby uważał na to, co mówi przy małym, ale postawę przekazał mu dobrą.

– Już skończyłaś, mam? – pyta mój syn, radośnie siadając obok. Naprawdę dobrze mu w długich włosach, no i ma trzeci ogon.

– Tak, a tobie, jak mija dzień?

– Dobrze – odpowiada z uśmiechem, lekko przechylając głowę, po czym dodaje poważnie: – Wiem, że moje sny się spełniły.

– To naprawdę mnie cieszy – przyznaje szczerze.

Czasami zapominam, że za pierwszym razem, kiedy go spotkałam, był ptakiem. Jak ten czas leci, piętnaście lat mija niczym tydzień, ale chwile spędzone z najbliższymi zawsze są najcudowniejsze.

– A moja siostra jak zawsze zapatrzona w przestrzeń – komentuje Koseki.

– A moja siostra jak zawsze uszczypliwa – odpowiadam z uśmiechem. – Jak tam zajęcia?

– Dobrze, większość dzieci jest naprawdę pojętna, tylko mają problem z koncentracją – mówi, rozkładając bentō i wydając cztery zestawy pałeczek.

– Wiesz, siostrze, ty masz o wiele więcej zajęć, może będę robić nam drugie śniadanie.

– Jeszcze mi życie miłe. Siostrze, jesteś ostatnią osobą, która powinna tworzyć jedzenie.

Podczas gdy się przekomarzamy, Aki patrzy z cierpienną miną w kierunku korytarza prowadzącego do hondenu. Po chwili wszyscy unosimy lekko uszy, słyszymy szybko stąpające kroki. Na posiłek zmierza ostatni członek rodziny. Po piętnastu sekundach wytraca prędkość i siada w pozycji seiza.

– Przepraszam za spóźnienie, ale...

– Wiemy – odpowiadamy niemal równocześnie z Koseki.

– Dziękuję za posiłek – rzuca szybko Aki i zabiera się za jedzenie.

– Dziękuję za posiłek – mówię i sięgam po inarizushi.

– Dziękuję za posiłek – oznajmia moja zadowolona siostra.

– Dziękuję za posiłek – powtarza Makoto.

– Córciu, może pomogę ci wieczorem z zapisami? – pytam.

– Wiem, że chcesz dobrze, ale twój charakter pisma jest po prostu koszmarny. Nasza bogini będzie mieć do ciebie prośbę – zagaja Makoto, a jej zwykle poważną twarz rozświetla lekko szyderczy uśmiech.

Ehh, mała szydera, normalnie ma to po mamusi, oczywiście tej drugiej.

– Czyli znowu prowadzenie zajęć o moralności i tolerancji spadnie na mnie – wzdycha ciężko moja siostra.

– Może odpuśćmy je sobie? I tak nikt na nie nie uczęszcza.

– Ja tam je lubię – stwierdza Aki z pełną buzią.

– Stanowią dobre uzupełnienie dnia – konstatuje Makoto pomiędzy kęsami.
– Moje stanowisko upada pod ciężarem tej argumentacji – stwierdzam z uśmiechem. – Warto je prowadzić choćby dla waszej dwójki.

Reszta posiłku mija w ciszy, wszystkim jakoś tak mimowolnie wrywa się ciche, radosne westchnienie. Siedzimy jeszcze przez chwilę, po czym żegnamy się i rozchodzimy w parach. Ja idę za Makoto.

– *Brakuje jeszcze siatki i dachu szkoły, co, księżniczko?* – komentuje Mordred. Wrywa mi się cichy chichot.

– Ta twoja dziewczyna, mam, powiedziała coś zabawnego?

– *Staram się, aby na twarzy mojej księżniczki zawsze pojawiał się uśmiech.*

– Tak.

– Kiedy ją spotkałam, zrobiła na mnie raczej dobre wrażenie, pachniała tobą i naprawdę jej na tobie zależy – mówi Makoto, uchylając drzwi do głównego pawilonu.

– Proszę, wejdz, Aari. Makoto, poczekasz?

– Tak.

Kurczę, kiedyś wchodziłem tutaj z taką radością, a teraz mimo że ona nadal istnieje, czuję strach, bo naprawdę nie chcę powiedzieć niczego, co zraniłoby moją senpai. Przy tym wiem, że robiłam to mimowolnie od samego początku. Jestem naprawdę złą osobą, a niezręczność naszego położenia mnie poraża.

– *Spokojnie, ona rozumie* – pociesza mnie Mordred.

Inari siedzi jak zwykle na podwyższeniu. Zatrzymuję się przed nim, siadam w pozycji seiza i kłaniam się delikatnie.

Bogowie, czemu zdjęłam maskę, przydałaby się teraz.

– *Ja cię o to prosiłam, masz naprawdę piękną twarz* – przypomina moja rycerz.

– Aari, mam dla ciebie zadanie. W prowincji Yamashiro na północ od miasta pojawił się Gashadukuro – oznajmia bogini.

– Spokojnie, zajmę się nim. Jak się czujesz, Inari?

– Dobrze, a ty? – pyta po chwili bogini.

– Też... dobrze – odpowiadam, kłaniając się lisiej pani. – To ja ruszam.

– Dziękuję, szerokiej drogi.

Później, w drodze

Dobrze jest się czasami wyrwać z Heian, zwłaszcza teraz, kiedy coś się dzieje wokół chramu. Jakiś szogunat czy coś... Będę musiał się rozejrzeć, o co chodzi, bo odrealniłem się strasznie... Wypadłem z obiegu, można powiedzieć.

Przypomina to trochę los niektórych starszych ludzi podczas rewolucji technologicznej na początku XXI wieku. Jeśli przestaniesz się interesować zmianami, to przepadłeś, bo już nie nadgonisz. Nie ułatwia tego też mój niski status, mam przecież tylko trzy ogony, więc większość kitsune z tego powodu nie rozmawia ze mną. Zarówno Koseki, jak i Makoto mają po cztery, Aki – trzy.

Moja reputacja bardziej mnie bawi, niż martwi. No, a nie poprawia jej mój zwyczaj mówienia do siebie. Czasami widuję ludzi przychodzących i proszących Inari o urodzaj i łapię się na myślach, jak to dziwnie było być ograniczoną niekiedy istotą. Nie czuję się przez to lepszy, ale naprawdę podziwiam ich za to, że są w stanie żyć z tą świadomością. „Mam przed sobą sześćdziesiąt lat, podczas których przejdę całą swoją drogę”, bałem się tego kiedyś, dochodzi to do mnie jak przez mgłę. Dawno temu w przyszłości zaczęła się moja nieskończona droga pełna...

– *Miłości* – odpowiada Mordred.

– Tego też, moja droga Mo-chan, ale zmian na każdym kroku, no i bogów.

– *Ale co pozostanie w tobie, jeśli zmienisz wszystko?*

– Na pewno uczucie do ciebie – wtrącam, spoglądając na zachodzące słońce, oraz chęć uratowania wszelkiego życia, tak myślę.

– *A ja ci w tym pomogę, księżniczko, dlatego idziemy razem pokonać tego Kaszakuro, jaki on jest?* – Chce wiedzieć moja rycerz.

– Gashadokuro, moja droga, to wielki szkielet powstały z nagromadzonej nienawiści, żalu przeciwko żyjącym, ciała zmarłych w dziczy albo zapomnianych na polach bitew, rzadko kiedy stają się objęte poprawnym rytym pogrzebowym, łączą się ze sobą i tworzą ogromny szkielet nie do zabicia, dopóki nie wyładuje swoich baterii nienawiści.

– *Chcesz go pokonać tak jak zwykle?*

– Tak, pieczętowanie powinno pomóc, tylko będę potrzebował twojej pomocy, bo przejdą na mnie wszystkie jego uczucia. Może będę miał zjazd i cofnę się do pewnych przeżyć. Opętasz mnie wtedy całkowicie?

– *Tak, księżniczko, zrobię to* – odpowiada smutno moja rycerz

– Nie powiesz mi, żebyś tego nie robiła?

– *Nie, niektóre rzeczy muszą być zrobione, a ty jesteś w tym najlepsza, więc będę cię wspierać, jak tylko mogę.*

Uśmiecham się, wchodzę do opuszczonego budynku, zwykle są nawiedzone, ale cóż i tak jestem nawiedzony, myślę ciepło. Jutro powinniśmy dotrzeć na miejsce. Wnętrze przedstawia obraz uzasadnionej rozpacz, ale przynajmniej jest ciepło i nie pojawi się...

– *Yuki-onna*, niech przyjdzie, to się nią zajmę* – mówi Mordred, a ja wiem, że uśmiecha się w ten szczególny sposób.

– Taka jej natura, zabija ludzi. Ot, taką wymyślili ją ludzie.

– *Dalej mnie przeraża, gdy mówisz, że wszyscy bogowie pochodzą od nas. To takie nienaturalne...*

– Ale prawdziwe, widziałam na własne oczy śmierć jednej z religii.

– *Myślisz, że Avalon wciąż istnieje?*

– Nie mam pojęcia, czemu pytasz?

– *Bo chciałabym, aby moja matka cię poznała, mogłybyśmy zrobić to w ramach poszukiwania Graala w przyszłym stuleciu. Co ty na to, księżniczko?* – pyta lekkim tonem, jakby chodziło o to, czy pójdziemy na herbatę.

– Oczywiście – stwierdzam, rozkładając matę w kolejnym z pustych pokoi.

Siadam ciężko, bo odwykłem trochę od chodzenia, a na buty do podróży wybrałem gety. Nie czuję oczywiście bólu, ale... dyskomfort – tak to dobre słowo.

W którymś momencie przypomina mi się nieskładna rozmowa z Inari, tak bardzo niezręczna. Może za sto lat znowu nauczymy się ze sobą rozmawiać. Na litość bogów, to moja senpai. Wiem, że ona lubi i nie lubi mojej obecności. Może powinnam odejść...

– *Ucieczka nie jest rozwiązaniem* – wtrąca usłużnie Mordred.

– Wiem, jakoś w drugiej połowie tego stulecia musimy odwiedzić lisołaki i sprawdzić, jak sobie radzą.

– *Tak* – potakuje z rozrzewnieniem. – *Odwiedzisz mnie?*

– Mhm.

Odpinam oba miecze, wiśniowy boken odkładam na bok, zaś Clarenta obejmuję, przykładając czoło do chłodnej głowni. Kładę się na boku i podkładam sakwę pod głowę. Zamykam oczy i zapadam się w głąb siebie. Już po chwili stoję

* Yuki-onna – dosłownie kobieta śniegu.

w salonie. Mordred, jak zwykle w takich sytuacjach, można odnaleźć w kuchni, gdzie coś pichci. Mogłabym podejść i ją pocałować na powitanie, ale boję się, że mi nie wyjdzie.

– Aari, może zaprosiłabyś brata?

– Ale on tutaj jest – mówię z lekkim uśmiechem. – Jako emanacja umysłu nie jesteśmy rozdzieleni, jako dusze możemy pojawiać się oddzielnie, ale zwykle nie ma potrzeby.

– To naprawdę pokręcone, wyjmiesz talerze, zrobiłam pulpety w sosie koperkowym.

Czując burczenie w brzuchu, wykonuję polecenie i wyjmuję z jednej z szafek dwa zielone talerze. Spoglądam przy okazji na moją rycerz. Widzę, z jakim skupieniem miesza w garnku, podobną minę przybiera podczas walki, tylko że wtedy w jej oczach nie ma nawet cienia uśmiechu. Ten moment wybiera właśnie na zrobienie kroku w bok i złożenie pocałunku na moich wargach. Potem zgrabnie nakłada porcje na talerze. Wyjmuję jeszcze po parze sztuczków i siadamy pod kotetsu. Jak ludzie na zachodzie mogą żyć bez czegoś takiego.

– Dziękuję za posiłek – mówię i nieufnie biorę w dłoń widelec.

– Nie ma za co – odpowiada Mordred, zbierając włosy za głowę w krótki kucyk.

Chciałabym kiedyś zobaczyć ją w naprawdę długich włosach, szkoda, że to niemożliwe, że nigdy tak naprawdę jej nie...

Stop, Aaron, Aari, ciesz się z tego, co masz. Twoja ukochana jest tuż obok...

– Księżniczko, co mogłabym obejrzeć? Polecisz mi jakieś anime?

Sam nie wiem, czemu pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to *Carnival Phantasm*, a dokładnie moment, kiedy Artoria próbuje ustawić nagrywanie. Nie, to wymaga obejrzenia zbyt wielu rzeczy jako kontekstu i do tego pojawia się tam jej ojciec... To zdecydowanie zły pomysł.

– Może *Date a live*? Bardzo przyjemne i zadziwiająco zabawne.

– Dziękuję, chętnie spojrzę w wolnej chwili.

– Nie musisz dziękować, dobre rzeczy trzeba przekazywać dalej.

– Mhm, myślisz, że twoja siostra mnie lubi?

– Tak, ciesz się naszym szczęściem – mówię, biorąc ostatniego gryza. – Było cudowne, dziękuję, Mordred.

Cudownie się czerwieni. Odnosimy talerze, po czym gadamy jeszcze długi czas o najróżniejszych pierdołach, wyciągając nasze dyżurne tematy. Mordred

zasypia jak zwykle na futonie w sypialni, ja leżę obok niej, nucąc cicho jedną piosenkę. Trzymam ją jeszcze przez dłuższy czas za rękę. Zamykam oczy. Wzdycham ciężko, wracając do rzeczywistości. Wokół domu słyszę letnie, nocne odgłosy, czyli minęła pewnie godzina albo dwie, gdybym miał zgadywać.

Czas spać, przechodzi mi przez myśl, gdy ziewam. Moje dzieci pewnie już dawno ułożyły się do snu, podobnie jak Koseki. Tym razem ona się nie wyśpi.

Mata tatami ma ograniczoną powierzchnię, a ja zawsze kładę twarz koło rękoności, mój syn za to zwykle przytula mi się do brzucha, mieszcząc się pomiędzy nim a pochwą miecza, no i Makoto przykleja mi się do pleców. Lubię tak spać na kupie, ma to swój urok. A ja raczej nie potrzebuję snu...

Ranek

Podrywam się z niemym krzykiem, rozglądam się po pomieszczeniu, po czym wypuszczam z piersi dwutlenek węgla. Delikatne promienie słońca przebijają się przez dziurawe ściany. Ehh, czas wstawać...

– Śniło ci się coś? – pyta zaspanym głosem Mordred.

– Tak, ale nie pamiętam co... Czasami jasnowidzenie to wrzód na dupie. Chodźmy – proponuję, przecierając twarz.

– Masz moje wsparcie.

Później

– *Ja będę poruszać nogami, ty twórz mi podparcia.*

– Dobrze – mówię, wyskakując w górę.

Wbiegamy coraz wyżej po niewidzialnych schodach, ku rozpadającej się pagodzie, o którą zaczął się czocharać ten ogromny szkielet.

Priorytetem są ludzie potrzebujący pomocy, bo nawet stąd słyszę krzyki. Muszę zdążyć, myślę, tworząc kolejne punkty podparcia, coraz wyżej i wyżej. Wbiegam przez otwór okienny, dobrze mi się wydawało, że to stąd dochodzą te dźwięki. W małym pomieszczeniu jedyną osobą jest samuraj, co wnioskuje po ubiorze.

– Kim jesteś?

– Jest tu ktoś oprócz ciebie? – pytam, kiedy zapadają się dolne piętra.



– Mnie, mnie uratuj, kitsune, nakazuję ci to jako członek...

– *Ludzie, gdzie są?* – rzuca sucho Mordred moimi ustami.

– Oni są nieważni, mnie po... – Nie daję mu skończyć i zarzucam go sobie na plecy, wbiegam w głąb budynku, skąd dochodzi płacz.

Próbuje mi się wyrwać, więc ogłuszam go, uderzając lekko w potylicę dłonią. Przeszukuję kolejne pokoje. Cholera, kończy mi się czas, tylko to przechodzi mi przez myśl, gdy widzę wielką, kościaną dłoń zrywającą dach nade mną. Jest, myślę, gdy pod schodami znajduję małą dziewczynkę. Najwyższy czas, bo dookoła mnie wszystko się wali. Tworzę wokół siebie kulę chomika przy użyciu bariery.

Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy nie, ale uderzył mnie łokciem, wyrzucając poza budynek. Biorę ludzi przed sobą, proszę, wytrzymaj, przechodzi mi przez myśl, gdy zbliżamy się do ziemi. Słyszę głuche łupnięcie, gdy wraz z dotknięciem ziemi pada tarcza. Podnoszę się z zagłębienia, które wytworzyłem. Dziewczynce, którą trzymałam mocniej, nic nie jest, za to samuraj, który wylądował obok, ma skręcony kark i resztę ciała. Odkładam dziecko na bok, z trudem wstaję, chyba coś jest bardzo nie tak z moją lewą nogą i ręką. Ubranie mam w strzępach. Dobrze, że mam zapasowe w sakwie, razem z maską i resztą. Clarent trzyma się sztywno na plecach.

– *Żyjesz, książniczko?*

– Tak – odpowiadam przez ściśnięte gardło. – Ruszajmy.

Rzucam się do przodu biegiem. Ma ponad czterdzieści metrów wysokości, a przynajmniej tak myślę, bo perspektywa mi się rozjeżdża, chyba musiało wypaść mi oko. Nie wyróżnia się niczym szczególnym. Ot zwykły szkielet, tylko duży, żadnych rogów ani nic.

– *Opętać cię po tym?* – pyta zmartwiona.

– Tak, nie chcę wywołać kataklizmu.

Dotykam jego kości śródstopia, nie broni się, pewnie mnie nie zauważył. W tym samym momencie czuję, jakby trafił mnie piorun. To wszystkie jego uczucia, nagromadzone emocje na mnie spływają, przechodzi mi przez myśl, która jest tylko cichym szeptem przy ich krzykach, jękach. Ich tak boli, gdzieś jakby obok czuję, że moje ciało pada na ziemię, wygina się w łuk tak, że kręgosłup lekko wystaje.

Wszystkie głosy znikają, jakby ucięte...

Nie zniosę tego, tych kłamstw. Napieram nogami o podest, na którym oparto dyby i bez większego problemu wrywam je z ziemi. Unoszę ręce, jakbym chciała się rozprostować, a okowy łamią się i spadają przede mną. Przecież to tylko marne drewno, a ja łamałam i miażdżyłam już mury grubsze niż moje ramię.

Uśmiecham się krzywo, gdy widzę, jak odwracają się ze strachem w oczach, dwaj strażnicy stojący wokół podestu robią podobnie. Rzucam się na pierwszego i miażdżę mu pięścią czaszkę. To było naprawdę głupie z ich strony, że zostawili mi zbroję. Podobnie robię z drugim, który co prawda zdążył już wyciągnąć miecz, ale nie pomaga mu to za wiele, bo już po chwili wystaje mu z brzucha. Durne pionki. Kiedy mężczyźni nauczą się walczyć? Sięgam ręką po Clarenta, którego pochwa, o dziwo, dalej wisi na moich plecach.

– To potwór, demon – rzuca Ginewra.

Zauważam na jej twarzy uśmiech, kiedy ucieka, aby się ukryć.

– Stań za mną, zajmę się nią, tyle lat...

Nie muszę go słuchać, żeby wiedzieć, co zaraz powie. Teraz jesteśmy tutaj sami. Po pustych murach świszczący wiatr, a królewski koń stoi osiodłany koło otwartej bramy.

Wyjmuje Excalibura i nawet nie patrzy na mnie, tylko przeze mnie. Ja i ten, którego kocham tak samo mocno, jak nienawidzę. Chciałabym zarówno wydrapać mu oczy, jak i żeby choć raz zaszczycił mnie spojrzeniem, zarówno przytulić się do jego piersi, jak i ją zmiażdżyć. Za tę niesprawiedliwość, za traktowanie w ten sposób kobiety, która kocha miłością tak czystą, że nie kała jej żadne wiadro pomyj, jakie na nią się wylewa. Za ten chory, przeklęty system, w którym kobieta nie równa się mężczyźnie, za wszystkie lata wiernej służby, po których zostałam odrzucona, bo mam coś innego między nogami. Zaciskam dłoń na rękojeści... i chowam miecz do pochwy. Nie, nie zrobię tego matce, myślę, i biegnę w kierunku konia. Lejcami popędzam zwierza. Nie jestem w stanie złamać tego rozkazu wpojonego mi tak głęboko, że mógłby równie dobrze być pierwszą myślą. „Masz chronić króla Artura za każdą cenę, nawet twojego życia”.

– Spotkajmy się na polach Camlann, tam ci wszystko wytłumaczę, Arturze
– mówię, odwracając się w siodle.

– Przybędę tam z armią.

Popędzam konia, byle dalej od niego. Ginewra, ona się uśmiechała... Musiała to zaplanować, powinnam ją zabić, kiedy miałam okazję.

Czemu on jej słucha bez zastanowienia... Czemu porzucił matkę, skoro ona go kocha?

Nigdy nie podała mi powodu, choć pytałam wielokrotnie, zawsze uśmiechała się smutno. Kocham ją, ale przekazała mi tak ciężkie brzemie, że krzyż chrystusowy wydaje się nieledwie zabawką. Robiłam, co mogłam, niszczyłam każdego, kto mu zagrażał, a to i tak za mało.

Pola Camlann, dwa dni później

Stoję na wzgórzu, opieram dłonie na mieczu. Patrzę na błysk ciągnący się od horyzontu. To musi być armia. Zbuduję most z ciał, abym ją, odrzuconą, mogła spojrzeć w twarz idealnego króla. Czuję, jak krew zaczyna mi buzować na samą myśl o walce.

Dzisiaj się nie zawaham, nie zaatakuję go, dopóki on tego nie zrobi.

Tak chciałabym, aby znalazł się kiedyś ktoś, kto mnie zrozumie, ale pewnie umrę dzisiaj zdeptana butami setek żołnierzy. Cały świat kieruje się tą jedną zasadą – zabij albo zostaniesz zabity. Boże, czemu stworzyłeś taki kaleki świat? No tak, zapomniałam, jesteś jak rycerze, którzy nie potrafią niczego zrobić porządnie, a są zawsze pewni, że wszystko robią najlepiej. Powiedziałabym, że nienawidzę mężczyzn, ale kobiet w sumie też. Może świat bez ludzi byłby piękniejszy? Ale kto sławiłby wtedy jego piękno? Ptaki codziennym śpiewem, chmury kroplami deszczu, słońce delikatnym dotykiem promieni... Są coraz bliżej, zaczynają otaczać wzgórze, na którym stoję.

Dobrze byłoby być mieczem wymierzonym w słusznej sprawie, bo nie łudzę się, że umiałabym żyć w spokoju, no i lubię walkę, bo jest jedyną rzeczą, którą potrafię.

– Poddaj się, Rycerzu Zdrady – odzywa się jeden z rycerzy. – Zostaniesz ścięty mieczem, a to i tak za dużo dla takiego psa jak ty.

Biorę oddech i krzyczę, ci w pierwszych szeregach cofają się o krok. Wyjmuję ostrze z ziemi i biegnę w ich stronę.

Prowincja Yoshizawa

Przedemną leży ogromny głaz, a to chyba znak, że mi się udało. Czuję się dziwnie, dopiero po jakimś czasie dociera do mnie, że Mordred płacze. Zamykam oczy, już po chwili stoję w salonie. Otwieram drzwi do sypialni, na futonie leży i szlocha moja kochana. Siadam obok i gładzę ją po włosach. Po kilku minutach odwraca twarz w moją stronę, widzę strużki łez na jej jasnej skórze.

– Mój rycerzu, wiesz, że Japończycy mają dźwięk na łzy spływające po policzku?

– *Jaki?* – pyta zaciekawiona Mordred.

– Porori – mówię.

Odpowiada mi śmiech.

– *Widziałaś? Co się stało z tym bólem i nienawiścią?*

– Tak, widziałam. Wzięłam je po prostu na siebie nie pierwszy raz, Keter pochłonie wszystko.

– *Jestem okropna... Jedyne, co potrafię, to walczyć i krzywdzić.*

– Nie, jesteś cudowna, a twoje spaghetti też jest cudowne – mówię, ścierając jej łzy z twarzy chusteczką.

– Naprawdę? – pyta, kładąc mi głowę na kolanach. – *Poza tym, księżniczko, nie znasz zakończenia mojej historii...*

– Ty też nie, bo przecież dalej trwa.

– *Nie pomyślałabym o tym w ten sposób.*

Słyszę dźwięk włączającego się telewizora w pokoju obok, po chwili wydobywa się z niego dziecięcy głos: „Ty bakemono, przez ciebie zginęła moja matka”. Ciężko wzdycham, bo co innego mam zrobić, już jakiś czas temu zrozumiałem, że nie uratuję wszystkich.

– Zdrzemnij się, muszę z nią pogadać...

Wracam do rzeczywistości, po mojej prawej stronie stoi dziewczynka, którą uratowałem, i kopie mnie w bok. Nic się nie zmieniło, lewa noga i ręka są powykręcane, w ustach wciąż mam smak krwi, a w sercu pobrzmiwają resztki nienawiści do tego, co żyje.

– Niech spadnie na ciebie gniew wszystkich bogów, niech... – mówi dziewczynka, a jej głos się załamuje.

– Wiem, znam takie formuły – oznajmiam, bo przyzwyczailem się, że najłatwiej obwinąć jest mnie.

– Czemu zniszczyłaś moje życie, przekłeta lisico? Daimyo Shunen był naprawdę dobrym panem – mówi, kwitując każde słowo kopnięciem.

– Uratowałam je, tylko tyle – stwierdzam. Podnoszę się ciężko na rękach do pozycji siedzącej. – Chcesz, to mnie znienawidź, wytocz mi zemstę, a najlepiej zapomnij i stwierdź, że nie jestem warta nawet grama twojej uwagi.

Patrzy na mnie płonącymi oczami. Cholera, mógłbym się nią zaopiekować. Nagle słyszę kobiecy krzyk, odwracam głowę, to musi być jakiś mieszkaniec pobliskiej wioski. Biorę głęboki oddech.

– Fu fu, jestem yako i zaraz pożrę tę małą dziewczynkę – mówię, słysząc w głowie cichy chichot Mordred. – Jeśli jej stąd nie zabierzesz, to...

Nie kończę, bo zabrał ją i uciekł. Ehh, nie oszukujmy się, z nim ma zapewniony normalniejszy żywot. Wstaję z trudem, spoglądam na ciało samuraja, ale nie ma go tam... Pewnie zabrał go ktoś z pobliskiej wioski, aby dopełnić rytów pogrzebowych, kolejna śmierć z mojej winy na liście.

– *Nie bądź dla siebie taka surowa...*

Ktoś musi – myślę, uśmiechając się krzywo. – Prawie mi się udało, to stwierdzenie prześladowe mnie od stuleci.

Powoli ruszam w kierunku, gdzie zostawiłem rzeczy, nastawiam sobie nogę i rękę. Usztynię je prowizorycznie, z pędu bambusa zrobię laskę i do końca tygodnia powinienem doczłapać do Heian.

– Dobrze się czujesz? Ostatni raz, jak mnie opętałaś, odchorozywałaś to przez długie tygodnie?

– *Jest dobrze, tylko dziwi mnie to uczucie posiadania ogonów, są fajne i fluffy, ale no wiesz...*

– Wiem, mowa ci się zmieniła.

– *Też to zauważyłam, uważasz, że jest kawaii?*

– Nawet bardzo, nie muszę przy tobie uważać na to, co mówię. Niedługo się okaże, że bardziej znasz mowę z moich czasów niż ja.

– *Ciężko ci? – pyta.*

Dobrze wiem, o co jej chodzi.

– Wiesz, jestem tą, która może wziąć na siebie cały ból i nienawiść tego świata i takie sytuacje jak ta mi o tym przypominają.

– *Moja księżniczka, czemu nie ma więcej takich jak ty?*

– Bo ci dobrzy są naprawdę słabi w planowaniu, mają mnóstwo dobrych chęci i pomysłów, ale nie umieją planować, nie tak jak ci żli.

– *Pratchett?*

– Tak – mówię z uśmiechem i siadam obok sakwy.

Później, droga powrotna

Jak zwykle w takich sytuacjach staram się omijać główne drogi, to znaczy kiedy myślę, bo wielokrotnie wracałem na trybie auto. Jak tak teraz o tym pomyśle, to wiem, czemu kiedyś zawsze wracałem w takim, a nie innym stanie. Chciałbym to powiedzieć, ale zauważyła to Koseki. Pieczętując coś, biorę na siebie jego energię, ale też emocje; czasami naprawdę trudno odróżnić jedno od drugiego.

Zwykle istoty, które kompresowałem, ziały negatywnymi emocjami. Mój umysł ogarniała wtedy „ciemna chmura” – tak nazywają to Japończycy – i się rozpadałem.

– *Ale teraz masz mnie.*

– Tak, teraz mam moją kochaną Mo-chan – mówię, siadając w bambusowym lesie. – Odpocznę trochę i jutro ruszymy dalej.

– *Księżniczko, zdrowiejesz wolniej niż ja...*

– Ale mi odrastają kończyny.

– *No tak, odrosłaś kiedyś z ręki. Jak to jest nie czuć bólu?*

– A jak to jest czuć ból? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– *Głupie pytanie.*

– Nie, nie aż tak, jakby...

– ...nie żyć, być zawsze o krok bliżej martwych, czuć potrzebę udowodnienia, że się istnieje. Być uważanym przez wszystkich, nawet przez własną babcię, za demona – wtrąca dobrze mi znany przepity głos, wyłaniając się zza pobliskiej kępy bambusa. – Witajcie.

– Witaj, Kasimaelu – mówię i zdejmuję maskę.

– *On też?*

– Tak, on też, to od niego się zaczęło.

Kasimael siada przede mną, wysuwa w moją stronę paczkę papierosów. Biorę jednego i chowam za ucho, po czym sięgam po kolejnego i zapalam dwa naraz. On obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.



– Złożę ci nogę, więcej niestety nie mogę. To trochę zabawne, ale za każdym razem, gdy jestem koło ciebie, czuję się obgadywany.

– *To może być moja wina* – wtrąca Mordred moimi ustami.

– Żadna wina, eh. A jak wam się żyje razem? – pyta z poważną miną.

– Cudownie – stwierdzam równie poważnie, po czym Mordred dodaje: – *Jak w bajce.*

I jakoś tak mój opiekun zaczyna mimowolnie chichotać, ja za to wypuszczam dym, oczywiście kółka mi nie wychodzą. To trzeba jednak być mną.

– Wpadnij, Aki za tobą tęskni, a i ty lubisz być dziadkiem.

– Odwiedzę was – obiecuje Kasimael, a na samo wspomnienie młodego jego twarz rozświetla uśmiech. – Lubię dzieci, bo nie oceniają po pozorach jak starsi, jak...

– Moja siostra i córka, wiem. Wiesz instynkt im podpowiada, że jesteś niebezpieczny, że jesteś drapieżnikiem. Nie ma się co dziwić. Ja go nie mam, podobnie jak samozachowawczego, dlatego zawsze pcham palce pomiędzy drzwi a futrynę.

– *Dlatego też jest nieufna w stosunku do mnie* – wtrąca Mordred na głos.

– Mówi im prawdę, jestem starym krukiem bez skrzydła i łapy. Takim, którego dziób dalej jest pokryty dawno zaschniętą krwią – stwierdza, po czym dodaje: – Co za pieprzenie.

– *Trafne, ja za to boję się dzieci* – dorzuca Mordred.

– Wprostuj tę nogę, to ją złożę.

Wykonuję polecenie. Patrzą, co robi. Kładzie lewą dłoń na nodze. Symbole na jego rękawicy rozbłyskują zielonym, kojącym światłem, po czym nachyla się i kładzie też na niej kikut prawej. Przez nogę przechodzi dreszcz, gdy kości z cichym trzaskiem układają się na swoich miejscach. Twarz Kasa robi się coraz bledsza. Gdy kończy, z ust wyrzywa mu się ciężkie westchnienie.

– Kas, wszystko w porządku?

– Tak, jestem zmęczony. Przepraszam, ale nie naprawię ci ręki ani oka – mówi, z trudem wstaje i opiera się na klamce drzwi.

– Nie przepraszaj za coś takiego. To ja powinnam cię przeprosić, że jestem dla ciebie utrapieniem.

– Nie jesteś, Młoda, dbajcie o siebie – mówi i przechodzi przez odrzwia.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

- *Lubię go, on rozumie.*
- *Co? – pytam zbity z tropu.*
- *Nic, chodź. Otulisz mnie do snu?*

1221, Heian, dwadzieścia jeden lat później

Przekładałam rzeczy w szafce w poszukiwaniu ubrań, które mogłabym zapakować. Mogłem posłuchać Koseki i zrobić to wcześniej. Ale nie, odkładałem to przez ostatni tydzień na później, przecież zawsze zdążę. No tak, doszedłem do tego momentu i za godzinę wyruszamy.

Każda z nas ma półkę w szafce stojącej we wspólnej sypialni, na mojej oczywiście panuje lekki chaos. Bielizna, weź bieliznę, przechodzi mi przez myśl, i wrzucam kilka kompletów do nowej sakwy. Stara niestety, dobra towarzyszką odeszła mimo prób reanimacji; to znaczy Koseki ją wyrzuciła, bo nie mogła na nią patrzeć. Kasimael sprezentował mi nową, na któreś z kolei urodziny, naprawdę miło z jego strony, ale nie czas na to. Pakuję pośpiesznie kolejne rzeczy, aż trafiam na trzy kartki pergaminu związane sznurkiem.

Nie pamiętam, żebym schował tutaj coś takiego, rozsypuję sznurek. Są tam dwa zatarte obrazy narysowane węglem oraz całkowicie zatarta kartka, z której można się domyślać, że była zapisana. Mimowolnie stawiam uszy, czuję niepokój, a symbol rozbłyskuje na czerwono. O co może chodzić...

– *Pamiętasz, jak miałyśmy wracać do Japonii?*

– Tak, teraz sobie przypominam – mówię, odkładając kartki na półkę. – Całkowicie o tym zapomniałam...

– *Masz dużo na głowie, księżniczko, i tyle. Tak jak z tym wyjazdem teraz...*

– Zastanawia mnie, kto wpadł na pomysł, aby tam, w Hirakawie, odbywało się doroczne spotkanie lisów i że trzeba tam pojechać, aby zaprezentować swój klan przed resztą społeczeństwa i czemu akurat teraz? – dociekam, upychając resztę rzeczy.

– Powinnyśmy się tam pojawić, siostro, albo sto lat od założenia klanu, albo aż jeden z członków będzie miał pięć ogonów. Ty miałaś, ale je straciłaś, więc wiesz i tak odkładamy to, odkąd wróciłaś.

– Przecież wiem – mówię i zarzucam torbę na ramię.

– I pamiętaj, że każde z nas będzie musiało się przedstawić i opisać swoje talenty w celu uzyskania przydziałów.

– I tak nic z tego nie wyniknie, bo mamy poprzydzielane zadania przez samą Inari – mówię, ziewając, gdy wychodzimy.

– *Biurokracja to naprawdę straszna rzecz.*

– Ta w formie minimalnej nie jest jeszcze taka zła.

Hirakawa, kilka tygodni później

Piesza droga z prowincji Yamashiro do prowincji Musashi nie ciągnęła się naszej piątce specjalnie. Znaczy, momentami przypominało to wycieczkę z przedszkolakami, bo przy wszystkim najchętniej zatrzymywały się Makoto i moja siostra.

– O popatrz, jaki ładny wodospad, normalnie wypuścili hikikomori z domu i szaleją.

Po drodze spotkaliśmy różnego typu mononoke lub yōkai. Czasami agresywne, czasami przyjazne. Nic nowego, akurat do takich podróży jestem całkiem przyzwyczajony, Mordred również. Nie ma miesiąca, aby ktoś nie potrzebował mojej pomocy.

Teraz dochodzimy do niewielkiej wioski rybackiej, gdzie kiedyś będzie najpierw Edo, a później Tokio. To tutaj ma znajdować się mała kapliczka, przy której zbierają się kitsune. Wciąż nie wiem, jakimi słowami się opisać, jakich sformułowań użyć... które talenty wymienić, a które lepiej ukryć.

– *Opowiedz o wszystkich, księżniczko, masz się czym pochwalić. Pewnie ktoś od razu poprosi cię o pomoc, ale do tego się już przyzwyczaiłyśmy.*

– Jak i do tego, że zwykle wywołujemy strach i popłoch wokół.

– Mamo Koseki, mamó Aari, popatrzcie tam jest morze! – wykrzykuje Makoto z iskierkami w oczach.

– Możemy się wykąpać? – pyta Aki.

– Woda jest za zimna, mamy zimę, może gdybyśmy były na Riukiu, ale to Honsiu – mówię smutno.

– Mamo, a czy w tej twojej Polsce jest ciepłe morze? Bo chyba wybieramy się tam w tym stuleciu? – docieka Makoto z nowo odkrytą ciekawością świata wypisaną na twarzy.

- Nie, Bałtyk jest raczej chłodny...
 - *Ale pełen nawiedzonych mieczy* – wtrąca Mordred w mojej głowie.
- Uśmiecham się mimowolnie.
- Jest tam bursztyn – stwierdza Aki.

Wieczór

Trochę współczuję mieszkańcom wioski, pochowali się po domach, poprzykrywali, czym tylko mogli i starają się nie oddychać. Mają za to zapewnioną ochronę jednej starej lisicy przybyłej tu w szóstym wieku wraz z pierwszymi mnichami z Chin pośrednio, bo przez Półwysep Koreański. Mój mózg jak zwykle w stresujących sytuacjach stara się myśleć o wszystkim, a nie o tym, że za chwilę wejdę do pokoju, gdzie siedzi Xing Mao. Tak samo czułem się podczas wszystkich odpowiedzi ustnych czy poprawek w liceum. Nie jestem wygadany, cholernie się jąkam.

Tak jak na scenie, gdy musieliśmy przedstawić nasz klan, zaciąłem się i to Makoto dokończyła moją wypowiedź. Na mnie zareagowali ze zdziwieniem, tylko trzy ogony i posiada własny klan? Jak to możliwe? Członkinią jej klanu jest ginko? Co, chłopiec, ale jak to? No tak, mój syn był powodem poruszenia, bo to niemożliwe, aby kitsune był mężczyzną... A poza tym po nim nawet tego nie widać. Przysięgałam na Inari, że mówię prawdę. Mam takie głupie przecucie, że będzie miał kiedyś powodzenie... Spoglądam na niego, siedzi obok, mamy wejść razem i porozmawiać z nadobną lisicą.

Boli mnie ta pustka, musiałem zdać broń... Chyba jestem uzależniony od obecności Mordred. Mam nadzieję, że czuje się dobrze, choć wiem, że tak nie jest. Naprawdę uwielbiam jej obecność, a mój umysł jest bez niej tak strasznie pusty jak portfel pod koniec miesiąca. Gorzej, jeśli opętywanie mnie przez nią może mieć dla niej jakieś skutki uboczne...

- Siostró, wasza kolej – mówi Koseki.

Łapię Akiego za rękę i wchodzimy do pomieszczenia urządownego, jak większość tego typu w tym kraju, ascetycznie. Na środku znajduje się stolik, a na nim imbryk, obok kilka czarek do herbaty. Przy stoliku leżą trzy poduszki. Jedną zajmuje kobieta. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie jest ładna. Ma złote oczy i także włosy. Musi być tenko. Chciałbym powiedzieć o niej coś więcej, ale zakrzywia mi percepcję.

Kłaniam się w pas, a mój syn naśladuje ten gest.

– Siadajcie – mówi kobieta gładkim głosem.

– Droga Xing Mao, moje imię brzmi Aari, a to mój syn Akatorii. Pochodzimy z klanu Rairaku kukyo, który założyłam.

– Wiem, służycie w świątyni Fushimi Inari w Heian?

– Tak – odpowiadam. – Zazwyczaj zajmuję się zażegnaniem potencjalnych zagrożeń, takich jak rebelia księżniczki Takiyashi czy sprawa Shuten Doji i jej ukochanej Ibaraki.

– To chwalebne, a teraz opisz się i swoje możliwości.

– Nazywam się Aari, obecnie powinnam mieć siedem ogonów, ale kilkakrotnie poświęcałam je, aby ratować czyjeś życie. Mam nieśmiertelne ciało, znam się na jasnowidzeniu, stawianiu barier, podróżach przez światy duchowe, szermierce, piromancji obejmującej inne ognie niż kitsunebi, pieczętowaniu istot, zdarza mi się rozumieć drzewa oraz shintai.

– Mhm, wiele się o tobie mówi. Podobno opętana przez tanuki zniszczyłaś bez większego problemu Heian. Odnaczasz się też niesamowitymi czynami, nieprawdaż?

– Nie, po prostu robię rzeczy, które powinny być zrobione. – Po tych słowach widzę, że jej twarz rozjaśnia uśmiech.

– Dobrze, dobrze, w takim razie pomożesz mi w sprawie Tamamo no Mae. Teraz kolej na ciebie, mój chłopcze.

– Nazywam się Akatorii, mam trzy ogony i lubię się nimi bawić. Nie robię niczego specjalnego, czasem tylko pomagam mamie Aari sprzątać dziedziniec.

– Skąd go masz?

– To mój syn – mówię, kładąc mu mimowolnie dłoń na ramieniu. – To tajemnica, obiecałam Inari.

– Dobrze, niech będzie – mówi kobieta, biorąc łyk herbaty z czarki. – W sprawie Tamamo no Mae pomożesz nam. Ona stanowi problem dla naszej społeczności.

– Tak, co mam zrobić, zapieczętować ją?

– A co zwykle robisz? – pyta wypranym z emocji głosem.

– Tak, powiesz mi o niej coś więcej? – pytam, zauważając, że pominąłem tytuły grzecznościowe.

– Oficjalna wersja jest taka, że zginęła, a jej ciało zostało zamienione w kamień. Naprawdę jednak zniknęła bez śladu...

Prowincja Shimotsuke, kilka tygodni później

Kocham takie zadania jak to, dostajesz imię osoby oraz miejsce, gdzie masz jej szukać. Przyjemnie przestaje być, gdy zrozumiesz, że zakres poszukiwań to cała prowincja, a szukasz mistrzyni iluzji. Ale przynajmniej...

– *Jesteśmy razem, to było straszne, te kilka godzin bez ciebie* – mówi przestraszonym głosem Mordred.

– Czulałam się podobnie, mój rycerzu, to po prostu bolało.

– *Myślmy o pozytywach, księżniczko, ale czulałam się jak manga czekająca latami na adaptację anime, która co gorsze została zawieszona w połowie pierwszego sezonu* – dodaje z przejęciem Mordred.

– Wciągnął cię magiczny świat mangi i anime?

– *Mniej więcej, tak jak Lancelota cudze żony. A tak serio, to są zabawne, bardziej niż wszystkie ballady o miłościach śpiewane przez podpitych bardów.*

Wrywa mi się cichy śmiech. Ehh podążam za wizją, był w niej wodospad z jaskinią oryginalnie ukrytą za spadającą wodą. A może tylko mi się to wydaje. Oczywiście, bo grałam tak dużo w RPGi, a czasami nawet w jakieś MMO. Choć dość miałem ludzi twierdzących, że odbywają stosunki seksualne z moją matką, a i tak to poziom wyżej niż niektóre Moby. Dlatego najczęściej grałem sam.

– *Co to są gry MMO?*

– To takie gry stanowiące swoistą symulację światów, na przykład fantasy. Gra się w nie z innymi ludźmi.

– *Mhm, zagramy, jak tylko się pojawią?*

– Skoro chcesz. Ostrzegam jednak, że ludzie tracą wszelkie zahamowania, gdy mają pewność, że są bezkarni.

– *Przynajmniej są szczerzy, co to za problem im się zrewanżować?*

– To przypomina gaszenie pożaru benzyną i mówię to z doświadczenia.

Odpowiada mi ciche mruknięcie, a to oznacza, że musiała się wciągnąć w czytanie.

Tamamo no Mae, mówię sam do siebie, najsłynniejsza lisica chodząca po tym świecie od kilku tysięcy lat, znana w Chinach jako Daji*, została ulubioną konkubiną

* Daji była ulubioną małżonką króla Zhou z Shang, ostatniego króla dynastii Shang w starożytnych Chinach. W legendach i fikcjach jest przedstawiana jako złowrogi duch lisa, który zabija prawdziwego Dajiego i podszywa się pod niego. Wydaje się, że jej identyfikacja jako ducha lisa pochodzi przynajmniej z dynastii Tang.

króla Zhou z dynastii Shang. Zapamiętano ją głównie z powodu orgii urządzanych w pałacowym ogrodzie ano oraz inwencji podczas wymyślania nowych rodzajów tortur. Doprowadziwszy do upadku dynastii, za swój cel obrała królestwo Magadha w Indiach. Tam nazywano ją Panią Kayo, została małżonką króla Kalmashapady w Japonii znanego jako Hanzoku. Bez większego problemu przekonała go do pożerania dzieci, zabijania mnichów, a to tylko te mniej drastyczne ekscesy. Uciekla, kiedy, jak mówią złośliwi, królowi skończyły się dzieci, a wedle innej wersji, gdy oddał się naukom Buddy. Jej celem znowu stały się Chiny.

W czasie dynastii Zhou nazywała się Bao Si i podobno była najbardziej pożądaną kobietą w całym Państwie Środka. W roku 779 p.n.e. została nałożnicą króla You. Namówiła go do oddalenia aktualnej małżonki, królowej Shen, i wybrania jej samej na to miejsce. Mimo urody i osiągnięć nasza bohaterka uśmiechała się rzadko. Władca, pantoflarz, robił wszystko, aby na jej ustach zagościł uśmiech. Chyba nie muszę mówić, że czyny te były okrutne do tego stopnia, że dworzanie i zausznicy porzucali i zdradzali go. Niedługo później zginął. Kobietę złapano, z czasem jednak uciekla i zaszyła się gdzieś na setki lat... Dynastia upadła w roku 771.

Kolejne jej pojawienie datuje się na ósmy wiek naszej ery, a to wcielenie nosiło nazwę Wakamo i wyglądało na szesnaście lat. W tej postaci namówiła wysłanników dziesiątej japońskiej wyprawy do dynastii Tang, aby zabrali ją ze sobą. Po tym zniknęła bez śladu na kolejne trzysta lat.

W 1090 roku znowu wyłoniła się jak spod ziemi, przybierając postać małego ludzkiego dziecka. Miała wycucie, nieledwie kilka lat wcześniej zmaląa populacja zenko zamieszkujących stolicę. To dziecko, leżące przy drodze, znalazło i przygarnęło małżeństwo. Otrzymało imię Mizukume. Od najmłodszych lat dziewczynka wykazywała się inteligencją i talentami, była tak piękna, że wzbudzała zainteresowanie każdego w towarzystwie. Już w wieku siedmiu lat wydekamowała przed cesarzem poemat o bardzo poruszającej treści. Musiała zrobić na nim wrażenie, bo została częścią jego dworu. Jak mogliśmy się tego spodziewać, była w tym po prostu doskonała, chłoneła wiedzę jak gąbka ze wszystkich możliwych dziedzin: muzyki, historii, astronomii, religii, znała nawet na pamięć chińskich klasyków. Jej ubrania były zawsze czyste, pozbawione zagięć, jakby tego było mało, roztaczała się wokół niej cudowna woń. Mówiono, że nie ma piękniejszej od niej w całej Japonii.

W dniu jej osiemnastych urodzin na jej cześć zorganizowano recital zarówno poetycki, jak i muzyczny. Przez salę, gdzie odbywała się uroczystość, powiał wiatr, zgasły wszystkie świece, a uczestnicy utknęli w ciemnościach. Ku zdziwieniu obecnych jej ciało zaczęło delikatnie świecić i oświetliło pomieszczenie. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że to musi być znak jej geniuszu oraz tego, jak dobra i święta była we wcześniejszym życiu. Nadano jej też nowe imię – Tamamo no Mae. Cesarz Toba zakochał się w niej bez pamięci i uczynił swoją wybranką. Niedługo po tym zdarzeniu władca zapadł na śmiertelną chorobę, nikt nie miał pojęcia, jak go wyleczyć. Wezwano maga onmyoji zwanego Abe no Yasunari. Po zbadaniu przyszłości władcy poczuł on zły omen. Nie pomogły modły najświętszych mnichów. Imperator słabł coraz bardziej. Po kolejnych próbach mag odkrył, że powodem choroby była Tamamo no Mae.

Aby oczyścić się z winy, miała wziąć udział w świętym rytuale, najpotężniejszym ze wszystkich w magii onmyoji, nazywanym Taizen Fukun no sai. Czemu się zgodziła? Może zawiodła ją intuicja? Nie wiadomo... Choć ja jestem za stwierdzeniem, że wykończyła ją statystyka. Pewnym jest, że uciekła i wysłano za nią armię, która miała ją zgładzić... Oczywiście nie udało się jej znaleźć, a ona znowu się gdzieś zaszyla... Ostatnio widziano ją w prowincji Shimotsuke.

– Ładnie opowiadasz, księżniczko, czemu nie robisz tego częściej?

– Zbyt często mam wrażenie, że gadam od rzeczy – mówię i przystaję.

Słyszę szum spadającej wody, może to tym razem będzie mój wodospad. Może to głupie, ale ja się pytam, czemu nikt jej wcześniej nie unieszkodliwił. Gdyby historia była dokładniejsza, to miałabym szansę poznać jej motywację, bo czuję w tym dramatyczną historię, a może po prostu jestem przewrażliwiona na ten temat i staram się wyszukiwać wszędzie okoliczności łagodzących dla czynów wszystkich „złych”.

– Trochę jesteś, tak myślę, ale to piękne, że nadal widzisz dobro w ludziach. A co do tej historii, brzmiała ciekawie... Znikanie od tak sobie na kilkaset lat.

– Na pewno jest żadna potęgi, władzy... Dlatego z tak długim życiem trzeba sobie stawiać określone cele, przynajmniej ja tak zamierzam.

– Hmm, a ty możesz cofać swój wiek tak jak ona? – pyta mnie Mordred zaciekawiona.

– Nie wiem, może. Czemu pytasz?

– *Chciałabym choć raz spojrzeć ci prosto w oczy...*

– Wiesz, że istnieją buty na obcasie? Poza tym ja lubię się do ciebie nachylać – mówię, wychodząc na polanę z wodospadem. – Mam nadzieję, że to ten, który to w tym tygodniu?

– *Zgubiłam się przy czternastym. Naprawdę tak to lubisz?*

– Mhm, kocham twój ciepły oddech na moim karku – mówię, przeskakując po kamieniach w kierunku wodospadu.

Czuję, że zrobiła się czerwona, jak jej ulubione jabłko. Może nie powinnam, ale lubię ją czasami peszyć. Tworzę pod strugą klosz, aby przejść suchą stopą do jaskini, która mi się ukazała.

– *Naprawdę tak to lubisz?* – pyta z jakimś takim rozrzuwieniem.

– Nie aż tak jak ciebie, Mord-chan.

– *Haha, bardzo zabawne, czemu mojego imienia nie da się skrócić w żaden fajny sposób.*

– Mojego też nie – mówię, wzruszając ramionami.

Zaczynam eksplorować, tworząc dwie kule kitsunebi po jednej nad każdym ramieniem.

– *Twoje same w sobie jest fajne i łatwe do zapamiętania... Nadała ci je Inari. Twój syn też ma ładne imię* – mówi, wzdychając ciężko.

– Twoje za to jest naprawdę unikalne. Sądzę, że ci pasuje.

– *Naprawdę?*

– Hontoni hontoni – mówię, przystając przed drzwiami.

Nawet przez nie czuję wyraźny smród zgnilizny, popycham je lekko. Moim oczom ukazuje się małe pomieszczenie, nieledwie komórka. Wszędzie leżą poukładane skrawki bambusa oznaczone znakami. Biorę jeden, ale jedyne, co odczytuję, to bełkot. Czyli chiński, identyfikuję ze zdziwieniem.

– *Nie odczytasz tego?*

– Znaczkę są podobne, ale mają inne znaczenia. Zbiorę wszystkie i oddam Xing Mao, może ona coś z tego wynioskuje, w końcu to jej ojczysty język.

Pod ostatnią ze stert zauważam jakiś słoik, podnoszę go.

Cholera, czemu pływają w nim włochate ogórki, po czym słoik wypada mi z rąk, a ja puszczam pawia na pobliską ścianę. Kiedy przestaję, spoglądam na ogony, które leżą teraz na ziemi. Jest ich siedem.

– *Dobrze się czujesz?* – pyta zmartwiona Mordred.

– Tak, tylko to... straszne – mówię, łapiąc się za usta. – To zbezczeszczenie świętości każdego kitsune... – Moje nogi robią kilka kroków w tył, wyprowadzając mnie z pokoju, biorę głęboki oddech, powiew świeżego powietrza przynosi ulgę. – Dziękuję, Mordred, nie mogłam się ruszyć.

– *Robię tylko to, co mogę, aby chronić moją księżniczkę* – mówi wciąż zmar-twiona. – *Wzięłaś wszystko?*

– Myślę, że tak – odpowiadam, choć nadal kręci mi się w głowie. – Dalej pójde sama.

– *Dasz radę?*

– Myślę, że tak... – mówię i robię bardzo powoli jeden krok, a później drugi. – Wciąż nie mieści mi się w głowie, że można zrobić coś takiego. Powinna je zabrać i pochować... – Na samą myśl o tym znowu mi się zbiera, to nielisie... Chwieję się, ale w ostatniej chwili Mordred przejmuje moją rękę i łapie pobliski występ skalny. Oba kitsunebi wybuchają z cichym sykiem.

– *Wyprowadzę nas, daj sobie pomóc.*

– Dobrze, ja po prostu...

– ...jesteś w szoku, przede mną nie musisz się tłumaczyć, księżniczko. *Oprzyj się na mnie* – proponuje i bierze mnie pod ramię.

– Dziękuję, mój rycerzu. – Moje nogi zaczynają się poruszać krokiem marszowym, który rozpoznaję ze wspomnień mojej ukochanej. Ona zawsze zaczynała go od lewej nogi.

Prowincja Shimotsuke, tydzień później

Zanurzam głowę pod wodę, kiedy przypominam sobie tamten moment. Wyrzucić to z myśli, nic mną tak nie wstrząsnęło od... Tak, nie wyszedłbym stamtąd, gdyby nie mój rycerz. Boję się, że to wspomnienie będzie mnie nawiedzać jeszcze długo. Zobaczenie czegoś takiego przez lisa, to tak jakby człowiek znalazł płód w słoiku. Wzdrygam się na samą myśl o tym, to znieważenie symbolu życia, możliwości pomocy komuś...

Pochowałam je, owijając w kawałek jednego z moich ubrań. Czuję wyrzuty sumienia, że coś takiego rusza mnie bardziej niż ludzka śmierć; tak jak tego samuraja albo tamtego fanatyka. Ja...

– *Nie zapomniałaś o oddychaniu?*

Wynurzam się i otrząsam. Zatrzymaliśmy się, aby odpocząć przy jakimś jeziorze, nie byłbym sobą, gdybym nie wykorzystał tej okazji, aby się wykapać. Zwykle pomaga mi to „zmyć” z siebie problemy.

– Nie, pod wodą wytrzymuję nawet do dwudziestu minut.

– *Jesteś niesamowita... prawie jak...*

– ... nieczłowiek – dodaję smutno. – Boję się tego zobojętnienia na krzywdę innych.

– *Aari, moja księżniczko, teraz proszę uważaj. Powiedz, kto wczoraj pomógł tamtemu zbieraczowi bambusa zanieść kosz do domu? Kto zawsze zgłasza się do najbardziej niebezpiecznych zadań, aby oszczędzić innym krzywdy? Kto, gdyby to coś dało, dałby się pokroić, aby uratować choćby jedno życie?*

– To nic wielkiego, robię, co mogę, tylko tyle – mówię, siadając na brzegu.

– *Kochanie, bywasz czasami tak głupia, że gdybym mogła, to najchętniej walnęłabym cię w ten pusty łeb. Po prostu nauczyłaś się myśleć wedle kategorii „lepiej ratować żywych niż opłakiwać bezsensownie martwych”.*

Wzdycham ciężko, bo wiem, że ma rację. Gdyby powiedział mi to ktoś inny, to pewnie zbyłbym go i szedł dalej tą koleiną myślenia.

– *Jak uroczo, mogę się o coś spytać? – mówi, a ja czuję, że jej ulżyło.*

– Oczywiście, mój rycerzu – odpowiadam w trakcie wycierania.

– *Co to jest „trap”?*

– Wśród fanów mangi i anime przyjęło się uważać, że to mężczyzna udający kobietę.

– *A odwrotnie też? Bo jak to, jesteś w związku z trapem, księżniczko, jak dobrze wiesz, przez większość życia musiałam udawać mężczyznę.*

– Chyba tak – chichoczę mimowolnie. – Wiesz...

– *Wiem, wiem.*

Sięgam po kimono, powoli się ubieram i cicho coś nucę. Gdy zwiążuję obi, dociera do mnie charakterystyczny dźwięk, a mianowicie skrzypienie drzwi, a później szelest krzaków, tak jakby coś je zgniotło. Zwykle po tym pojawia się odgłos ciężkich butów spod znaku jeszcze cięższej muzyki. Zawijam pas do końca i odwracam się w kierunku, skąd dochodzą dźwięki.

– O – wyrывa mi się, gdy widzę Haru. – Witaj, synku.

On patrzy na mnie niepewnie i ze zdziwieniem. Stoi kilka metrów ode mnie z liśćmi i gałązkami we włosach koloru sakury. Trzyma ręce za plecami, ubrany jest tak

jak za pierwszym razem, gdy go zobaczyłam. Dopiero teraz zauważam, że mimowolnie przypomina Ąkiego, to nic co dałoby się opisać... po prostu ulotne wrażenie.

– O, to jeden z twojego klanu jest na tej szafce, czyli tokomonie.

– Skąd wiesz, mamó? – pyta przestraszony Ąki. – Kasimael mówił, że mam ci nic nie mówić.

– Po prostu czuję – stwierdzam i podchodzę do niego. – Nie musisz mi nic mówić, to, co wiem, mi wystarczy. Usiądź, uczeszę ci ogon i włosy.

On patrzy na mnie, jakby sobie nagle coś przypomniał, uderza się ręką w czoło, a to, co trzymał za plecami, upada. Unoszę wzrok, bo cokolwiek to jest, musi być niespodzianką.

– To facepalm?

– Tak – po czym dodaje: – To do...

– Wiem, mamó, znam przecież Ma... ciocię. Jestem zapominalski, ale nie aż tak – mówi, nadymając policzki. – Chciałbym ci, mamó, życzyć wszystkiego najlepszego z okazji urodzin ode mnie i od Kasimaela – mówi, uśmiechając się szeroko i szczerze, tak że na długo zapamiętam ten uśmiech.

– Dziękuję – odpowiadam, a wzruszenie ściska mi gardło, gdy odbieram paczkę. – Zamykam go w uścisku, a on go oddaje.

– *Czemu nic mi nie powiedziałaś? Który to dzień?*

– Trzynasty marca, urodziłam się w piątek trzynastego, a moja siostra Marcelina kilka minut wcześniej w czwartek.

– *Zapamiętam, księżniczko* – odpowiada poważnie Mordred.

Siadamy na macie tatami, z rozbawieniem zauważam, jak chodzą ogony Haru. Czeka na moją reakcję. Otwieram prezent i wyciągam solidną szczotkę do włosów zrobioną ręcznie, na której wygrawerowano moje imię w hiraganie.

– To cudowny prezent, skąd wiedziałeś? – pytam z radością.

– Zawsze mówiłaś, że trzeba wyczesywać ogony, więc pomyślałem, że musisz mieć czym.

Przytulam się znowu do niego. Bogini dziękuję ci za wszystko, myślę, czując łzy spływające po policzkach. Tak wiele rzeczy roznieca dumę rodzica, powoduje radość oraz wzruszenie; wielką taczkę wzruszenia.

– Czemu płaczesz, mamó? – pyta Haru, choć sam też szlocha.

– Cieszę się, że mam takiego syna jak ty, Haru. Kiedy patrzę na ciebie i mogę cię dotknąć, mam pewność, że to wszystko gdzieś prowadzi. A ty?

– Dawno cię nie widziałem, mamó. Stęskniłem się.

Nic nie mówię, tylko obejmuję go mocniej, daję mu jeszcze chwilę na wzruszenie.

– Odwróć się, wyczeszę ci włosy i ogon – proponuję ponownie.

– Dziękuję, mamó.

Po pierwsze rozplątuję warkocz opadający mu na plecy, po czym zaczynam rozczesywać włosy. Ile razy to robiłam – setki, a ile będę robić jeszcze? Tysiące, jeśli nie więcej.

– *Wiesz, księżniczko, naprawdę cieszę się, że jestem z tobą.*

– Ja też, mój rycerzu.

1256, Heian, trzydzieści pięć lat później

Stoję w jednym z mniejszych pawilonów, prowadzę tam zajęcia z problematyki dobra. Przychodzi na nie zwykle kilka lisów, oprócz moich dzieci, oczywiście. Bo z moim gadaniem o dobru jest trochę jak z pastą o ojcu wędkarzu. Nie da się być moim dzieckiem i nie słuchać o podobnych rzeczach przynajmniej raz na kilka miesięcy lub lat. Opieram dłoń na rękojeści miecza, który mam na plecach, a odgłos przewracanych stron upewnia mnie, że mój rycerz ma się dobrze. Zaczynam, gdy wszyscy już siedzą.

– Od zawsze niektórzy ludzie zastanawiali się i próbowali dociec, czym jest dobro, czy da się je zmierzyć lub zważyć...

– Ale proszę pani, my nie jesteśmy ludźmi. – Rozlega się głos sprzeciwu z tylnych rzędów.

– Ale powstaliśmy później i jednym z naszych celów jest niesienie im pomocy, my jako kitsune nie tworzymy własnej kultury, a stanowimy element wierzeń shintoistycznych. Mamy co prawda własne zwyczaje, sposoby świętowania takie jak kitsune no yomeiri podczas kitsuneame, ale czy to nie bardziej odniesienie do tego, co robią ludzie? Wśród nas przecież nie ma praktycznie mężczyzn, a...

– Sugerujesz, że jest ich więcej niż tylko twój syn?

– Wiem, że będzie ich więcej, czasami widzę przyszłość. Ale wracając do tematu. Dobro jest na przykład chęcią niesienia pomocy, ale czym byłoby bez zła. No właśnie neutralnością, a ta...